

Ks. Robert Skrzypczak: Przyszła burza. Kilka refleksji na marginesie aborcyjnej i ateistycznej furii w naszej Ojczyźnie

Wkrótce po wyroku Trybunału Konstytucyjnego na temat tzw. aborcji eugenicznej zainicjowaliśmy – tekstem Jana Rokity – dyskusję o etycznych, filozoficznych i prawnych aspektach tego orzeczenia. Do dyskusji zaprosiliśmy filozofów, teologów, prawników, lekarzy i publicystów. Dziś publikujemy głos ks. Roberta Skrzypczaka.

W Polsce nie ma już prawa pozwalającego na aborcję. Prawo to, uchwalone w 1993 roku, zostało po większej części uznane przez Trybunał Konstytucyjny za niekonstytucyjne. W wyniku tego od wielu dni w całej Polsce są organizowane manifestacje o agresywnym i wulgarnym charakterze, często z elementami przemocy. Kościoły profanowane, obrzucane brudem i pokrywane obscenicznymi, antyklerykalnymi graffiti, posągi Matki Bożej bez głowy, święci potłuczeni na kawałki, flagi tęczowe owijane wokół figur Chrystusa, chłopiec z rozbitą głową, duchowny bezpardonowo zaatakowany na stacji benzynowej, ludzie broniący dostępu do swych kościołów obrzucani butelkami, kamieniami i wyzwiskami. Mało tego, wiele środowisk solidaryzuje się z protestującymi przeciw ograniczaniu dostępu do aborcji. W stacjach telewizyjnych występują osoby z wyeksponowanymi błyskawicami, nawet w niektórych piekarniach chleb i ciastka udekorowane są czerwonym piorunem. Kobieca drużyna piłki nożnej podczas meczu z Mołdawią ruszyła na boisko z transparentem poparcia. W ustach wielu zwolenników protestów wyrazy poparcia dla „praw kobiet” łączą się często z oznakami wrogości wobec Boga i Kościoła. Jak się okazuje, atakowanie kościołów i profanowanie

miejsc sakralnych stało się główną bronią w walce o legalną aborcję, niczym prawnie nieograniczoną i dostępną dla każdego. Bo właśnie o niczym nieskrępowaną aborcję w całym tym sporze i buncie, jaki się przetacza przez nasz kraj, chodzi. W tle domaganie się przywilejów dla środowisk homoseksualnych oraz żądanie totalnie świeckiego państwa.

Polska spontaniczność

Ciekawe, że w okresie nasilenia pandemii na stronach portalu „Open Democracy”, należącego do amerykańskiego multimiliardera węgierskiego pochodzenia George’a Sorosa, ukazał się znaczący artykuł, z którego wynika, że kryzys koronawirusa to najlepszy czas na likwidację rodziny. Zamknięte domy, miejsca życia rodzinnego, według Sophie Levis, autorki tekstu, są „najbardziej rozpowszechnionymi, i najmniej zgłaszanymi miejscami naruszania praw człowieka. Osoby queerowe i sfeminizowane, zwłaszcza bardzo stare i bardzo młode, z definicji nie są tam bezpieczne”. Stąd wniosek: „zasługujemy na coś lepszego niż rodzina. Czas koronawirusa to doskonały moment na wprowadzanie procedur powolnego jej znoszenia” (www.opendemocracy.net, 24 march 2020). Dawid Rockefeller, przemawiając na forum ONZ, dowodził przed laty, że ludzkość musi poradzić sobie z pogłębiającym się kryzysem gospodarczym i lękiem przed przyszłością. Nie osiągnie tego w inny sposób, jak tylko bezwzględnie zmniejszając swą liczebność. Środkiem do osiągnięcia tego celu ma być: zalegalizowana i wypromowana aborcja, eutanazja, eugenika, depresja powodująca samobójstwa, promocja kultury homoseksualnej i pandemia. Pełny zestaw.

Warto przyjrzeć się kilku faktom. „Popieramy”. „Sfinansujemy przyszłe protesty” – to tytuły, którymi wspierała protestujące w Polsce tłumy „Gazeta Wyborcza”. W 2016 roku *Media Development Fund*, należący do George'a

Zaskoczyła nas niechęć do Kościoła i chrześcijańskiego przesłania, chrześcijańskich symboli i gotowość niszczenia tego, co było dotąd nienaruszalne, na przykład bezpieczeństwa modlących się ludzi, azylu świątyni. Wciąż nas zdumiewa gremialne poparcie dla tych idei ze strony najmłodszego pokolenia

Sorosa, nabył akcje Agory, wydawcy „Gazety Wyborczej”. Podobnie w 2019 roku Soros nabył na własność stację „Radia Zet”. Poza Sorosem, wyraźnego poparcia strajkującym zwolennikom aborcji udzielił „mBank” należący do niemieckiego Commerzbanku. Dziennikarz Łukasz A. Jankowski ujawnił, że

„do Warszawy dotarła niemiecka Antifa”, by uczyć Polaków świeckiej wolności. Za liczną obecnością w manifestacjach wielu młodych osób, w tym nastolatków, kryje się akcja wysyłania na ich telefony smsów z informacjami, gdzie odbędą się kolejne „spontaniczne” protesty, jak się na nie ubrać i jak się zachować w razie zatrzymania lub aresztowań. W Krakowie młodzi uczestnicy rebelii byli instruowani, jak nie dać się rozpoznać (maskować tatuaże, zakrywać długie włosy), jak zmniejszyć efekt użycia gazu (okulary, nie soczewki kontaktowe), ubrać się na czarno (mniej widoczne nocą). Powiadomienia o manifestacji docierały na smartfony 12 minut wcześniej, by zmylić policję. Nie wiadomo, kto był anonimowym nadawcą instrukcji i jak uzyskano numery telefonów młodzieży. Wszystko jednakże wskazuje na to, że w tle polskiej aborcyjnej, antykościelnej rebelii kryją się potężne, kompetentne instytucje spoza naszych granic.

Wystarczy sięgnąć szerzej wzrokiem, by odkryć kolejne fakty. Dokumenty finansowe należące do Sorosa *Open Society* ujawniają systematyczne zasilanie kont organizacji aborcyjnej *Astra* w Polsce: w 2005 r. – 50 tys. dolarów, w 2017 – 20 tys., w 2018 – 40 tys., w 2020 – 60 tys. dolarów. Podobne środki „na zdrowie oraz prawa seksualne i reprodukcyjne” w Polsce spływają na konta organizacji *Federation for Women and Family Planning*. *International Planned Parenthood Federation European Network* otrzymała od fundacji Sorosa 400 tys. dolarów, zaś polski Komitet Helsiński jedynie w 2018 roku 1, 4 miliona dolarów. Fundacja Stefana Batorego jest bezpośrednią delegaturą amerykańskiego multimiliardera w naszym kraju. Polscy politycy, zwłaszcza wierni Kościołowi katolickiemu i przyjmujący – o zgrozo! – komunię świętą do ust i na kolanach, budzą od dawna złość zachodnich mediów oraz niektórych gremiów Unii Europejskiej, którzy na jednym wdechu oskarżają Polaków o lekceważenie „wartości europejskich” (czytaj: prawa do aborcji i przywilejów prawnych dla środowisk homo i transseksualnych), a także ponawiają groźby nakładania na nas finansowych sankcji. W wywiadzie udzielonym dla opozycyjnego dziennika węgierskiego „Nepsava” George Soros powiedział, że Polska i Węgry to „wewnętrzni wrogowie” Unii Europejskiej. Przywódcy tych krajów, demokratycznie wybrani, „okupują swe kraje” i „powinni być kontestowani wszelkimi środkami, bo ich zainteresowanie religią, rodziną i tradycją jest zagrożeniem dla świeckiego porządku europejskiego”. Zawalenie się systemu gospodarczego w Europie zachodniej może doprowadzić inne kraje do zainteresowania się wartościami narodowymi i religijnymi, które udało się z tych krajów skutecznie wytrzebić – patrz: Włochy, Hiszpania, Irlandia.

Czemu Polacy są tacy podatni?

Stwierdzenie wpływów zewnętrznych na nasze społeczeństwo jako faktu nie wyjaśnia wszystkiego, zwłaszcza nie daje odpowiedzi na pytanie, czemu Polacy są tak podatni na te wpływy, czemu dajemy się tak łatwo przefiltrować hasłom i naciskom „rewolucji obyczajowej”. Wielu z nas postawiło potężne znaki zapytania zjawisko tak licznego poparcia dla idei nieograniczonej aborcji i świeckiego sposobu życia. Zostaliśmy wprawieni w osłupienie rozmiarem złości i jej wulgarnej warstwy wyrazu. Zaskoczyła nas niechęć do Kościoła i chrześcijańskiego przesłania, chrześcijańskich symboli i gotowość niszczenia tego, co było dotąd nienaruszalne, na przykład bezpieczeństwa modlących się ludzi, azylu świątyni. Wciąż nas zdumiewa gremialne poparcie dla tych idei ze strony najmłodszego pokolenia. Przechodząca jak burza gradowa tłumna wrzawa przez nasze ulice i centra źle na nas działa. Skąd ten gniew? Czemu jest tak barbarzyński, wulgarny?

W ubiegłym roku został pokazany w kinach nowy film Todda Phillipsa pod tytułem „Joker”. Joker jest antagonistą Batmana, symbolem woli niszczenia. Mroczne i niezrozumiałe są w tym filmie przyczyny społecznej ochoty na dewastację. Bohater nie jest zawodowym kryminalistą, ale biedaczkiem, pracownikiem, któremu życie się sypie. Zagląda mu w oczy nieporadność, bezrobocie, brak porozumienia z innymi, bieda, trudności z własną psychiką, samotność i frustracja. Gromadzone tępe cierpienie wreszcie znajduje ujście. Nie jest nim odkupienie, przebaczenie i pojednanie ze światem, ale chaos. Tłum sfrustrowanych ludzi w końcowej scenie filmu wychodzi na ulice, by oddać się ślepej i bezsensownej destrukcji: napastliwość względem innych, wrzaskliwe protesty, eksplozowanie nienawiścią, wybijanie witryn, niszczenie samochodów i budynków, napady. Joker świetnie odnajduje się w tym klimacie. Jakby od dawna nosił go w sobie. Frustracja znajduje ujście w ulicznej furii. Czyżby film ten, doceniony Złotym Globem i dwoma oskarami, był barometrem wskazującym na kondycję płynnego postchrześcijańskiego

społeczeństwa, dzieci z pustką w sercu? Nie minął rok, a tu obserwujemy te same sceny w realu: najpierw USA, potem Hiszpania, Włochy, Francja, teraz my. Zmienia się tylko zapalnik, pretekst.

*Ludzie trwający przy klasycznym
rozumieniu seksualności,
małżeństwa i rodziny w ciągu
niewielu lat przestali być filarami
opinii publicznej i stali się
medialnym odpowiednikiem
rasistów i fanatyków*

Młodzi ludzie z
niezwykłą łatwością
opuszczają instytucje
społecznego zaufania i
duchowego
bezpieczeństwa:
rodzinę, Kościół,
tradycję, i biegną jak
kurczaki za zatrutym
ziarnem genderyzmu,

seksualnej i obyczajowej rewolucji oraz tramwajowego antyklerykalizmu. Wczoraj jeszcze te same dzieciaki jeździły na pielgrzymki, słuchały księdza Pawlukiewicza i grały w zespołach parafialnych. I nagle... socjologiczny grom z jasnego nieba. Ręce precz od naszych praw, nie chcemy żyć w państwie wyznaniowym, księza to pedofile, zakłócić nabożeństwa, zrobić burdę. Wygląda to na powtórkę słynnego ewangelicznego epizodu z synagogi w Nazarecie. Gdy Jezus przyszedł do swego rodzinnego miasta i wszedł do domu modlitwy, wszyscy zebrani patrzyli na Niego z podziwem, wisieli mu na wargach, cieszyło ich każde Jego stwierdzenie: „Dziś wypełniło się to słowo” (Łk 4, 14nn). Zaledwie przestał im schlebiać, postawił wymagania, zerwał z wygodnym kompromisem, ze złości wpadli w turbulencję, pochwycili Go i zamierzali zepchnąć w przepaść. Pięć minut wystarczyło do radykalnej zmiany nastroju. Do podobnej masowej odmiany doszło trzy lata później w Jerozolimie podczas świąt paschalnych: krótki dystans dzielił ludzi między pełnym entuzjazmu „Hosanna” wykrzykiwanym w Niedzielę Palmową a

nienawiścią i pogardą, jaka wylała się na Jezusa w Wielki Piątek przed Piłatem: „Ukrzyżuj Go!, ukrzyżuj Go!” (J 19, 6). Nie chcemy Tego, chcemy Barabasa!!! (Mt 27, 21).

Przejęcie kontroli nad umysłami

Wielu już zastanawiało się nad zjawiskiem gwałtownego wycofywania się europejskich i amerykańskich dzieciaków z chrześcijańskiej wiary i moralności podzielanej przez ich rodziców i dziadków. Nasze pokolenie dotyka to, co ojciec Pio z Pietralciny i Jan Paweł II nazywali „cichą apostazją człowieka sytego”. To, co w pierwszych wiekach chrześcijaństwa wywoływało w całym Kościele ból i łzy, dziś dokonuje się w sposób łatwy i bezrefleksyjny, jakby przedmiot decyzji nie miał już żadnego wpływu na dalszy przebieg życia. Tamte dawne porzucenia „jedynej prawdziwej religii” (Sobór Watykański II, deklaracja *Dignitatis humanae*, 1) były jednostkowe, dziś przybierają postać powszechną i banalną. Społeczeństwa zachodnie się zmieniają. Chrześcijanie żyjący w nich przypominają coraz bardziej „cudzoziemców w obcym świecie”. Miejsce wiary zastępuje bałwochwalstwo postępu i konsumpcji. Rewolucja seksualna niszczy małżeństwa i rodziny. Zanika kategoria prawdy, zwłaszcza w sferze moralnej. Wszystko staje się płynne. Ludzie trwający przy klasycznym rozumieniu seksualności, małżeństwa i rodziny w ciągu niewielu lat przestali być filarami opinii publicznej i stali się medialnym odpowiednikiem rasistów i fanatyków. Nad umysłami młodych osób przejmują kontrolę poglądy typu: „heteroseksualna para jest zagrożeniem dla życia kobiet”, „patriarchat to struktura społeczna oparta o fizyczną i ekonomiczną przemoc”, „przemoc polega na tym, że musimy wykonywać prace domowe bez żadnego wynagrodzenia”, „kobiecobójstwo to nie tylko zbrodnia na ofierze, ale i przestępstwo

zmierzające do zdyscyplinowania kobiety”, „aborcja to suwerenność naszych ciał, samodzielność naszych decyzji, dostęp do seksualnej wolności ciągle zagrożonej problemem ciąży”.

Temat aborcji, jak się okazuje, łączy wszystkie sektory Postępu: całkowita wolność kobiety, żadne prawa dla nienarodzonego (to „coś”, a nie „ktoś”), odmowa prawa głosu dla ojca, niepotrzebnej postaci, która tylko przypadkowo uczestniczyła w akcie poczęcia nowej istoty. Idea niereprodukowania samego siebie przez zmęczone i duchowo wyczerpane społeczeństwo stało się ideą polityczną, ruchem społecznym i naciskiem medialnym. Kryje się za tym panika wobec rodzicielstwa i obojętność względem nienarodzonego. To wystarczający powód, by przyznać sobie i określonym instytucjom prawo do zadawania śmierci. Łatwo w tym wszystkim wytłumaczyć propagandę niechęci względem religii. Bowiem, jak zauważał Alexis de Tocqueville, „despotyzm jest zawsze niebezpieczny, lecz szczególne obawy winien budzić w warunkach demokracji” (*O demokracji w Ameryce*, tłum. B. Janicka, M. Król, Aletheia, Warszawa 2005, s. 484). Religia jest dla demokracji tym, czym wędzidło dla konia. Ona poskramia demokrację, ponieważ odwołuje się do władzy wyższej niż sama demokracja. No, chyba, że ktoś z demokracji zamierza uczynić boga. „Demokracja pozbawiona religijnych ograniczeń – pisał dalej de Tocqueville – przysposabia ludzi do niewoli” (s. 402). Ludzie bez nadrzędnego Słowa nad sobą rezygnują z logiki, debaty i refleksji na rzecz tego, co wizualne i zmysłowe, spontaniczne i naładowane emocjami. Nie pozostawiają sobie prawie wcale możliwości odwołania się do wyższego autorytetu moralnego. Prywatny Pan Bóg, oderwany od Dekalogu, Kazania na Górze i Kościoła może okazać się co najwyżej schlebającym własnym zachciankom wymysłem. Prywatna wiara nie stawia nikomu obiektywnych żądań. Być może dziś mamy do czynienia z podobną sytuacją, jak ta opisana w Księdze Sędziów, w jakiej znalazł się lud Boży po wyjściu z Egiptu i zdobyciu

Ziemi Obiecanej pod wodzą Jozuego. Gdy Jozue umarł „i całe to pokolenie połączyło się ze swoimi przodkami, nastąpiło inne pokolenie, które nie uznawało Pana ani też tego, co uczynił dla Izraela” (2, 10).

Idea niereprodukowania samego siebie przez zmęczone i duchowo wyczerpane społeczeństwo stało się ideą polityczną, ruchem społecznym i naciskiem medialnym. Kryje się za tym panika wobec rodzicielstwa i obojętność względem nienarodzonego

Pewnym światłem na zrozumienie tychże przemian, tak gwałtownych i zaskakujących, w naszym ochrzczonym w 96 procentach społeczeństwie może być Jezusowa przypowieść o siewcy. Ziarno, czyli słowo Boga, może paść na miejsce skaliste. Wtedy

zapaści płytko korzenie. Wystarczy niewielki mentalny przewrót czy pokusa lękania się poświęceń i niewygod, a wówczas wzrastający w człowieku religijny zasiew ulegnie przypaleniu. Kochani rodzice, księża, ekscelencje: efekt naszej katechezy, niedzielnych zebrań, atrakcyjnych mszy gitarowych, duszpasterstwa *blue jeans* i „przybij piątkę” okazuje się żenująco płytki. Ewangelia nie wchodzi w ludzi. Nie wytworzyliśmy korzenia. Korzeniem chrześcijańskiej wiary jest głęboka, osobista więź z Chrystusem, dobrowolna wspólnota losu z Ukrzyżowanym i Zmartwychwstałym. Nie udaje nam się w przekonujący sposób przekazać wiary pokoleniu, które niebawem zajmie nasze miejsce? Powodem, dla którego wiara chrześcijańska nie ma znaczenia dla tak wielu młodych ludzi jest być może to, że nie miała ona tak naprawdę szczególnego znaczenia dla nas samych. W każdym razie nie na tyle, by ukształtowała nasze życie. Nie na tyle, by o nią chcieć walczyć i za nią chcieć cierpieć. Jako katolicy niebawem możemy poczuć się obcymi we własnym

kraju – „cudzoziemcami w obcej ziemi” (por. Wj 2, 22). Głębszym problemem może się okazać nie to, że my dorośli, wierzący, jesteśmy w niej „cudzoziemcami”, ale to, że nasze dzieci i wnuki już nimi nie będą. Cóż, nic nas nie usprawiedliwia, skoro – jak mówi papież Franciszek – my, uczniowie Zmartwychwstałego, wyglądamy nieraz tak, jakbyśmy właśnie wracali z pogrzebu (*Evangelii gaudium*, 10). Patrząc na nas, niektórzy mogą mieć mylne wrażenie, że religijność jest formą zorganizowanego sentymentalizmu albo rodzajem choroby umysłowej. Zwłaszcza, że niektórzy ludzie potrafią wykorzystać religię do popełniania okropnych rzeczy.

Nie jesteśmy pesymistami, jesteśmy chrześcijanami

„Nikt nie może podjąć walki – mówi papież Franciszek – jeśli nie wierzy w zwycięstwo. Kto zaczyna bez ufności, już przegrał pół bitwy. Chrześcijański tryumf jest zawsze krzyżem, ale krzyżem, który jest jednocześnie sztandarem zwycięstwa wznoszącym się z waleczną czułością przeciw napaściom zła. Zły duch klęski jest produktem lęklivego i egocentrycznego zniechęcenia” (*Evangelii gaudium*, 85). Pesymizm w myśleniu o innych i o świecie potrafi serca dobrych ludzi zamienić w kamień. Jeśli przestajemy się dzielić naszą wiarą, tracimy ją.

Żyjemy w cywilizacji skupionych na sobie konsumentów, którzy za pomocą zgiełku i rozrywki usiłują zagłuszyć w sobie dojmujący brak sensu życia. Serca ludzkie funkcjonują w amoku, jak odurzone, gdy zostaną pozbawione niepokoju dążenia do Boga. Chrześcijanom pozostaje zadanie dobrego życia wiarą w upadłym świecie. Spłonimy, byle tylko ten płomień, który nas pochłonie, nie był pożogą rewolucji i nienawiści, a raczej niezgodą na kłamstwo oraz miłością do Boga i do ludzi. Nawet w Kościele istnieje pokusa kompromisu z niszczącymi wzorami życia i sprowadzenia piękna

chrześcijańskiej prawdy o małżeństwie, seksualności i innych niewygodnych sprawach do poziomu abstrakcyjnych ideałów – co następnie małymi krokami prowadzi do wyrzeczenia się przez Kościół jego zbawczej misji. Świat potrzebuje od wierzących świadectwa gorącej prawdy i miłości, a nie taniej akceptacji. Potrzebuje Chrystusa, a nie tandetnych kompromisów. Dlaczego Chrystusa? Bo prawdziwy problem świata jest większy niż aborcja, ubóstwo, zmiany klimatyczne albo upadek rodziny, i o wiele bardziej uporczywy. Prawdziwym problemem świata jesteśmy my sami. Dopiero solidne uświadomienie sobie tej kwestii jest w stanie postawić człowieka przed Chrystusem. On jedyny ma klucz dostępu do jego serca i wie, jak mu pomóc. Jest miłością, która pokonała w człowieku śmierć. Jak to zrozumieć?

Nawet w Kościele istnieje pokusa kompromisu z niszczącymi wzorami życia i sprowadzenia piękna chrześcijańskiej prawdy o małżeństwie, seksualności i innych niewygodnych sprawach do poziomu abstrakcyjnych ideałów – co następnie małymi krokami prowadzi do wyrzeczenia się przez Kościół jego zbawczej misji

Łatwe, szczęśliwe życie to dokładnie to, co pragnęli zapewnić zaharowani, skłonni do poświęceń rodzice swym pociechom. Dawniej katolicka katecheza uświadamiała ludziom, że człowiek żyje dla chwały Bożej, dla zbawienia duszy w wieczności. Dziś nawzajem usiłujemy się przekonywać, że

celem człowieka jest szczęście tu na ziemi. Ludzie kiedyś ciężko pracowali, uprawiali pola, szli do wojska, rodzili i wychowywali dzieci. Było ciężko, ale to wszystko dawało im sens życia. Dziś wszystko jest łatwe, podstawione pod nos. I co z tego wynika? Depresja, anoreksja, apostazja. Nic nas nie cieszy, bo

domagamy się życia szczęśliwego, które utożsamiane jest z przyjemnością. Młody człowiek zbliża się do progu dorosłości i wie, że czekają na niego związane z tym wymogi, jakie stawia mu szkoła, korporacja, autoprezentacja, utrzymanie się na rynku, trwanie w nurcie kariery, zapewnienie sobie standardu życia. Jednocześnie ma pragnienia bliskości, intymności, schronienia. Tymczasem rodzina, Kościół i państwo stawiają dodatkowe wymogi, mówią o powinności, prawie moralnym, ograniczeniach. Piotruś Pan i Niunia Paniienka odczuwają wewnętrzny bunt. Bo w ich wyobrażeniu szczęścia nie ma miejsca na ograniczenia, oni się z nimi nie godzą, kwestionują ich ochotę na konsumpcję życia i przyjemność. Ograniczenia budzą sprzeciw, wrogość, agresję. Chrześcijanin słyszy w swoim kościele: „Kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje. Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je” (Mt 16, 24) i przyzwyczajają się do myśli, że życie opiera się na pewnym paradoksie. Im bardziej się dasz, tym bardziej się zyskasz, natomiast wszystko, co zagarniesz pod siebie zamieni się w pustkę. Tak Jezus wyjaśniał swe przykazanie miłości. Tymczasem człowiek skoncentrowany na imperatywie własnego szczęścia nie znosi jakiegokolwiek ograniczenia. Dla niego szczęście, wolność jest jednoznaczne z robieniem tego, na co ma ochotę, postępowaniem w zgodzie z zasadą przyjemności. Błąd tkwi w założeniu. W słynnym dramacie Sartre’a *Drzwi zamknięte* bohaterowie dochodzą do wniosku, że „piekło to inni”: drugi człowiek zawsze w jakiś sposób mnie ogranicza, krępuje, pozbawia swobody. Dlatego ani nie potrafimy żyć z innymi, ani zaakceptować samotności. Wejście z takim nastawieniem w życie musi zapowiadać katastrofę. Proszę sobie wyobrazić jakąkolwiek grę zespołową: piłkę nożną czy siatkówkę, w której zawodnik bierze kurs na postępowanie w zgodzie z własnym kaprysem: nikt mi nie będzie mówił, co mam robić; będę czynił to, na co mam ochotę. To moje prawo!!! Tymczasem powodzenie w grze zespołowej zakłada zaakceptowanie ograniczenia w postaci innego zawodnika: muszę brać go pod uwagę, porozumieć się z nim, współpracować. Egoiści nie są dobrymi graczami. A w jaki sposób odnieść sukces w małżeństwie, rodzinie, grupie

pracowniczej, gdy drugi, który mi wyrasta niespodzianie przed oczami i wchodzi w drogę, i nie pozwala spełnić zachcianek, jest wrogiem, rywalem, zawadą? A co, gdy nagle na drodze twego szczęścia stanie mały ktoś, kto ci przesyła pierwsze oznaki życia przez ekran usg, a potem ponowi je przez uczucie nudności, spadek formy, kuksańce i konieczność wzięcia pod uwagę zreformowania planów życiowych. Miłość karmi się ofiarą, albo umiera. Drugi człowiek jako ograniczenie mego „ja” jest szansą na wzmocnienie człowieczeństwa bądź jego załamanie. Takie sytuacje niemal zawsze przechodzą przez lęk.

Ten lęk, obawa jest dodatkowo wzmacniany przez pandemię, perspektywę dodatkowych ograniczeń, ryzyko strat, wizję niechcianych poświęceń. Ogarnia nas niepokój: może jutro zachoruję, zetknę się ze stratą kogoś bliskiego, może sam umrę przedwcześnie? To wzmagą powszechną frustrację. Pandemia działa jak ocet na zęby. W ślad za wirusem przez świat przechodzi fala ognistego gniewu: Black Live Matter, zamieszki uliczne we Francji i Hiszpanii, manifestacje we Włoszech, bunt kobiet w Polsce. Wystarczy pretekst: przejaw rasizmu, obniżka pensji, zamykanie barów, pogarda ze strony innych, utrudniony dostęp do aborcji i środków wczesnoporonnych... Ogień gniewu, szału, wulgarności wylewa się w przestrzeń Internetu, potem na ulicę. Potrzeba niszczenia, gardzenia, poniewierania innymi i tym, co dla nich cenne – jak w filmie „Joker” – znajduje uzasadnienie: oszukują nas, ograniczają, okradają, rząd to debile, Kościół to mafia, korporacja pedofilów.... Bez znaczenia, ile jest w tym prawdy. Potwory chcą mnie pozbawić moich praw, swobody decyzji, wolności. A wolność to możliwość robienia tego, na co mam ochotę. W amoku złości trudno się zorientować, że ktoś mnie zwiódł. Wykrzykując wulgarne hasła i skandując wrogie inwektywy nie powiększam szans, by się dowiedzieć, co mi jest. Wybór zła przynosi chwilową ulgę, ale nie zabiera goryczy. Wręcz ją pogłębia.

Pokonać śmierć

Tymczasem Biblia mówi, że człowiek staje się niewolnikiem czynienia zła z powodu strachu przed śmiercią. Oto prawdziwa przyczyna złych słów, złych czynów, złych wyborów. Wąż, który podjął rozmowę z Adamem i Ewą w Raju (Rdz 3) usiłuje wzbudzić niepokój w ludzkim sercu: Jak możesz akceptować ograniczenia? Skoro Bóg ci je narzuca z góry, przez swe przykazania i zakazy, przez prawa natury, nie akceptuj tego, zwalcz o swoje. To ewidentny dowód na to, że ten Bóg cię nie kocha, nie szanuje, chce cię kontrolować, kwestionuje twoją wolność. Zbuntuj się, wkurz się, weź sprawy w swoje ręce. Sam wiesz lepiej, co jest dla ciebie dobre lub złe. Decyduj o tym autonomicznie. Nie jesteś już gówniarzem. Człowiek w imię złe pojętego szczęścia przeciął życiową więź z Bogiem i odłączył się od źródła życia. W miejscu doznawanej dotychczas miłości zapanowała pustka, milczenie. Poczul więc lęk przed odrzuceniem, samotność, egoizm. Grzesząc, doświadczył w sobie egzystencjalnej śmierci. Grzech, wbrew temu, co się zazwyczaj ludziom wydaje, niszczy człowieka od wewnątrz, wytwarzając wokół niego rodzaj śmiercionośnego środowiska. Uwięziony w tym kręgu, nie jest zdolny do wyjścia z siebie i otwarcia się na drugą osobę. Tego rodzaju doświadczenie śmierci stoi na przeszkodzie, by móc tego drugiego pokochać. Pozostaje jedynie dramatyczna walka o przetrwanie, o dostarczenie sobie satysfakcji: od kogokolwiek i w jakikolwiek sposób. Owszem, czuje się on gotowy kochać kogoś, kto w zamian go zbuduje i dowartościuje. Choćby i chciał kochać w inny sposób, uniemożliwia mu to jakiś wewnętrzny hamulec. Czuje się spętany jak niewolnik.

Dopiero w Chrystusie odsłania się cała prawda o człowieku: zarówno o otchłani, w jakiej się zatracił, jak i o wielkości zbawienia. Gdy wolność i miłość Chrystusa zmartwychwstałego dotknie korzeni ludzkiego lęku przed

„Nasza odpowiedzialność nie ogranicza się do sugerowania światu wspólnych wartości – pisał Benedykt XVI – Trzeba wyraźnie głosić słowo Boga!”

śmiercią, człowiek
poczucie się uratowany
od wewnątrz. Inaczej
może wciąż zmieniać
scenerię życia,
partnerów, pracę,
dostarczać sobie
nowych doznań,
wzmacniać wokół

siebie prawa i przywileje – nic go nie uratuje od śmiertelnej pustki w sobie. Lecz istnieje dobra nowina: Chrystus „przez śmierć pokonał tego, który dzierżył władzę nad śmiercią, to jest diabła, by uwolnić tych wszystkich, którzy całe życie przez bojaźń śmierci podlegli byli niewoli” (Hbr 2, 14-15). Co to oznacza? Że teraz, gdy On jest przy tobie, możesz żyć! Tu i teraz jest ci dawane za darmo życie. Chrystus przełamał pierścień śmierci i grzechu, zwyciężył tego, który dzierżył władzę nad śmiercią, aby człowiek mógł przekroczyć barierę niemożności dotarcia do drugiej osoby i pokochania jej. Bóg nas pokochał, bo cierpieliśmy, bo byliśmy zniszczeni i zniewoleni, bo byliśmy grzesznikami. A człowiek bardziej jest niewolnikiem niż grzesznikiem. Bóg ma dla mnie miłosierdzie, w Chrystusie wyciągnął ku mnie swe ręce – oto prawdziwe oblicze Boga, nie to, które sugerował kusiciel. Bóg pokochał mnie jako pierwszy. I tylko On akceptuje mnie w pełnej prawdzie o moim życiu, nie gorsząc się niczym, co w nim zastał. Nawet człowiek zsekularyzowany i ateista może się na tej drodze znaleźć pociągnięty siłą i pięknem chrześcijańskiego przesłania o Chrystusie. „Nasza odpowiedzialność nie ogranicza się do sugerowania światu wspólnych wartości – pisał Benedykt XVI – Trzeba wyraźnie głosić słowo Boga!”. Byle tylko Kościół nie zamilknął, nie zdezerterował. Kto dozna pod jego wpływem wewnętrznego odrodzenia, temu Kościół odsłoni się w swej macierzyńskiej postaci. Będzie go odtąd kochał i będzie się z nim identyfikował. Jest to zapłata za apostolską troskę ze strony wyznawców Chrystusa.

Nie możemy obrazić się ani ulęknąć, słysząc inwektywy, spotykając się z pogardą i odrzuceniem. W krajach, w których głosiciele Ewangelii dali sobie zamknąć usta, albo wycofali się pod naporem wrogości i oskarżeń, diabeł przeprowadził błyskawiczne zmiany, na trwale zasiewając w ludziach uraz i niechęć do Kościoła. Odpowiadanie miłością na nienawiść wiąże się z gotowością do noszenia we własnym ciele „umierania Jezusa” za drugiego człowieka, za swoje pokolenie. Miłość Jezusa do każdej kobiety i każdego mężczyzny należy głosić otwarcie i odważnie, bez poczucia wyższości i pouczenia, z pokorą i w oparciu o własne świadectwo i modlitwę. Jej uzasadnieniem jest przekonanie, że w słuchających istnieje oczekiwanie na poznanie prawdy i temu oczekiwaniu najlepiej może sprostać Jezus Chrystus. Przy okazji będziemy poturbowani, może coś zostanie zburzone, odebrane. „Powinniśmy powrócić do szukania natchnienia w pierwotnym modelu apostołskim – mówił Jan Paweł II – Aby je znaleźć, podtrzymać i rozwinąć, trzeba będzie pozostawić czasami wygasające schematy, by pójść tam, gdzie rodzi się życie, gdzie widzimy, że rodzą się owoce życia według Ducha”. Jeśli ludzie oddalają się od swego Kościoła, bo poza hipokryzją i wadami jego sług, widzą same tylko wymagania i krytykę, jest to przejaw chrześcijańskiego „błędu w sztuce”. Słynny teolog i mistyk XX wieku Hans Urs von Balthasar kiedyś powiedział: „Nigdy nie zakładaj w ludziach wiary. Nie zakładaj, ale uobecniaj”. To, co się dzieje na naszych ulicach i w Internecie jest pobudką dla Kościoła. Najważniejszym zadaniem chrześcijaństwa jest głoszenie Ewangelii: prowadzić ludzi do odkrywania siły w Bogu, budzić w nich wielkie serce, wyobraźnię miłosierdzia, aż dźwigną się ponad przeciętność, doświadczą heroizmu, świętości. Człowiek ma najpierw prawo otrzymać Boga, by potem dobrowolnie Mu ulec. Tak uważał św. Augustyn, gdy się modlił: „Panie, udziel mi siły, bym potrafił spełnić Twoje żądania, a potem żądaj, czego chcesz”.

Ks. Robert Skrzypczak

Autor jest doktorem habilitowanym teologii, psychologiem i duszpasterzem akademickim. Wykłada teologię dogmatyczną na Papieskim Wydziale Teologicznym i w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym w Warszawie.

Maria Ryś: Psychologiczne skutki przerywania ciąży

Nierozstrzygalny spór o oczywiste wartości – artykuł Pawła Grada

Jarosław Kupczak OP: Upadek katolickiego imaginarium i Strajk (niektórych) Kobiet

Odpowiedź 25 polskich Dominikanów na „Apel zwykłych księży”

Bądźmy obrońcami bezbronnych! Tak zawsze czynił nasz Patron – oświadczenie wykładowców Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego

„Obrona prawa poczętych do życia to kwestia naszego człowieczeństwa” – rozmowa z o. Jackiem Salijem OP

„To jest bitwa o świadomość młodzieży” – artykuł Grzegorza Górnego

„Odnaleźć prawdę o powinnościach wobec człowieka” – artykuł ks. Jacka Grzybowskiego

„Niepełnosprawni intelektualnie, czyli czyste człowieczeństwo” – artykuł
Tomasza P. Terlikowskiego

„Wyrok” – tekst Jana Rokity

Foto: Fratria